

**recenzje****ANDRZEJ POLAK**

Uniwersytet Śląski (Katowice, Polska)



ORCID 0000-0002-3665-0115

W głąb, po śladach przeszłości

K. Petrowska, *Może Estera*, przeł. U. Poprawska,
Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2015, 272 s.

Autorka książki, ukraińsko-niemiecka pisarka i dziennikarka, udaje się — wraz z czytelnikami — w podróż do mniej lub bardziej odległej przeszłości, która ma na celu odtworzenie dziejów jej przodków, jak również samo ich odnajdywanie, wyłuskiwanie z mroków przeszłości. W wędrówce tej, dosłownej i wyobrażonej, Katia Petrowska przemierza Europę Wschodnią i Środkową, naznaczoną śladami, dziś ledwie już widocznymi (intencjonalnie przez różnego rodzaju władze zacieranymi), świadczącymi o obecności ludności żydowskiej. Sama pisarka stanowi część tej społeczności, dawniej na obszarach, przez które wędruje, jakże licznie reprezentowanej. W samej Warszawie, którą nazywa „niegdyś najbardziej żydowskim miastem Europy”, przed wybuchem II wojny światowej 39 procent mieszkańców było Żydami. Do wojny wierzono tu, jedzono i mówiono po żydowsku, całkowicie inaczej niż w Kijowie lat jej dzieciństwa. Podróż pisarki wiedzie przez tereny dzisiejszej Ukrainy, Rosji, Polski, Niemiec i Austrii. Co oczywiste, centralne miejsce zajmują w niej Żydzi, w pierwszej kolejności jej przodkowie, których losy na różne sposoby wikłają się z losami Rosjan, Ukraińców, Polaków i Niemców. Chociaż Petrowska urodziła się i wychowała w najpierw radzieckiej, a następnie niepodległej Ukrainie, to Ukraińcy (ich historia i kultura) w jej opowieści zajmują miejsce dość marginalne. Sympatyków młodej państwowości ukraińskiej może zdziwić, a nawet oburzyć fakt, że pisarka ani razu nie używa terminu Hołodomor (jednego z kamieni węgielnych tożsamości ukraińskiej), mimo iż w swej wędrówce w czasie zahacza o lata międzywojenne,

a nawet wspomina wprost o klęsce głodu w roku 1932. Być może dzieje się tak dlatego, że w zasadzie nikt z jej rodziny nigdy nie identyfikował się z narodem ukraińskim (poza jednym z dziadków, etnicznym Ukraińcem), czując się częścią ogromnej społeczności radzieckiej. Jak pisze: „Byliśmy rodziną radziecką, rosyjską i niereligijną, rosyjskość była dumnym dziedzictwem wszystkich, którzy wiedzieli, czym jest rozpacz, w obliczu losu własnej ojczyzny [...]”¹. Samą Petrowską i jej najbliższych należałoby więc uznać za rosyjskich Żydów, od żydostwa zresztą dość mocno odległych, do czego jeszcze powrócę.

Wędrówka Petrowskiej wynika z potrzeby szukania i odnalezienia czegoś, co zaginęło, co przepadło w mrokach przeszłości (sama pisarka mówi o „poszukiwaniu brakujących nagrobków”). Jest ona przy tym świadoma ułomności ludzkiej pamięci², wspomnień, jak również skali czekających na nią trudności. Mimo to wytrwale przedziera się przez „gruzowisko historii”. Kiedyś myślała naiwnie, że: „[...] wystarczy opowiedzieć o tych kilkorgu ludziach, którzy przypadkowo byli jej krewnymi, i ma się w kieszeni cały wiek XX” (s. 15) Jak się jednak okazuje, zbyt wielu zmarłych chce przywołać do życia, nie mając przy tym odpowiedniej strategii. Przeraża ją fakt, że nie ma żadnej władzy nad przeszłością, która żyje swoim własnym życiem. Nieustannie napotyka swoich krewnych, także tych z głębokiej przeszłości. Skrupulatnie gromadzi ich nazwiska, wyszukuje Lewich, Krzewinów i Hellerów. Jej zdaniem historia jest wtedy, kiedy nie ma już ludzi, których można by jeszcze zapytać, pozostają wyłącznie źródła. Wojna zniszczyła niemal wszystko, wskutek czego wspomnienie staje się jedynym dowodem przeszłości. Rekonstruowane losy przodków zdają się utkane z dziwnych, niepasujących do siebie nici. Jej zadanie polega na stworzeniu z nich czytelnego obrazu, czegoś w rodzaju logicznego ciągu przyczynowo-skutkowego. Wspominając swych przodków, objaśnia też historię własnego nazwiska. Zawdzięcza je swojemu dziadkowi, Siemionowi Sternowi, który przystępując do bolszewików, zmienił w podziemiu nazwisko na Petrowski. Centralne miejsce w jej wspomnieniach zajmują ofiary tragedii w Babim Jarze, gdzie zginęły m.in. jej prababka Anna i córka Anny — Lola. Babi Jar i los żydowskich mieszkańców Kijowa stanowi, jak

¹ K. Petrowska, *Może Estera*, przeł. U. Poprawska, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2015, s. 72. Kolejne cytaty pochodzą z tegoż wydania, numer strony podaję w nawiasie.

² Jak pisze Agnieszka Matusiak, wrocławska badaczka literatury i kultury ukraińskiej, powieść Petrowskiej wyrasta z koncepcji postpamięci Marianne Hirsch. Więcej na ten temat zob. *Trauma utraty. Może Estera Kati Petrowskiej*, w: A. Matusiak, *Wyjść z milczenia. Dekolonialne zmagania kultury i literatury ukraińskiej XXI wieku z traumą posttotalitarną*, KEW im. Jana Nowaka Jeziorańskiego, Wojnowice–Wrocław 2020.

się wydaje, najbardziej bolesne miejsce pamięci. Tym bardziej że przez wiele lat władze państwowe robiły wszystko, aby ta niegdyś peryferyjna część stolicy Ukrainy nie przypominała o dokonanej tu hekatombie (panować miało *m i l c z e n i e*), po której Kijów, który nazywa najstarszym rosyjskim miastem, od milenium zamieszkanym również przez Żydów, stał się „judenfrei”. Niestety, wysiłki te okazały się skuteczne — obecnie widuje się tu ludzi uprawiających sport, pijących, spędzających czas na zabawie. Za symbol ludzkiej ignorancji i niewiedzy należałoby uznać reakcję jednej z berlińskich bibliotekarek, która zapytana przez Petrowską o Babi Jar, kojarzy go z Baby Jahrem (po angielsku *baby year*). Tymczasem dla pisarki to miejsce niezwykle ważne, będące częścią jej historii. Historii wyjątkowo bolesnej, ponieważ przez wiele lat nie można się było dowiedzieć, że oprócz wielu ofiar leżą tu również kijowscy Żydzi. Przy czym odpowiedzialna za taki stan rzeczy nie była wyłącznie antysemitka polityka Stalina. Jak trafnie podsumował niegdyś jej ojciec, komentując rozstrzelanie członków Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, w tym także ostatnich pisarzy radzieckich tworzących w jidysz, najpierw Hitler wymordował potencjalnych czytelników, a następnie sprawę zakończył Stalin, mordując pisarzy. Chociaż po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w Babim Jarze wzniesiono pomniki wszystkim grupom ofiar, to — co pisarkę uderza szczególnie — nadal brakuje wspólnej pamięci. Petrowską razi też jedna z tutejszych tablic pamiątkowych z okresu pieriestrojki, która w jidysz sławi odwagę i bohaterstwo ludzi radzieckich, mimo że w Kijowie praktycznie nikt nie zna już tego języka, co wywołuje w niej poczucie straty.

Peregrynacje pisarki sięgają początków XIX wieku, kiedy to w Wiedniu Szymon Heller — pierwszy z jej przodków, którego zna z imienia i nazwiska — założył szkołę dla głuchoniemych dzieci. Jak się okazało, profesja ta na długie lata została przypisana do jej rodziny, której członkowie rozproszyli się po całej Europie (osiadali m.in. w Austro-Węgrzech, Francji, Polsce), gdzie prowadzili szkoły dla głuchoniemych. Petrowska podejrzewa też, że jej pradziadek Ojzel nieprzypadkowo dodał do nazwiska Heller (w Rosji zapisywano je Geller) swoje własne, to jest Krzewin, gdyż ten, kto się tak nazywał — miał krzewić oświatę. Historia jej przodków zaczyna się jednak nie w naddunajskiej metropolii, lecz w dużo mniejszym i prowincjonalnym Kole (w tamtejszym sztetlu), nieopodal Kalisza — najdalej na zachód wysuniętym punkcie rosyjskiego imperium; stąd właśnie jej przodkowie wyruszyli do Warszawy, a następnie dalej na wschód, by osiąść ostatecznie w Kijowie. Jej dalecy krewni

(noszący nazwisko Krzewin lub Lewi) jeszcze w początkach II wojny światowej żyli w wielu polskich miastach (Warszawa, Łódź, Kraków, Kalisz, Koło), ale także w Wiedniu, Paryżu i Kijowie.

Polska, zarówno w jej pamięci, jak i pamięci jej bliskich, zajmuje miejsce szczególne. To właśnie do Polski wraz ze swoją szkołą przeniósł się z Wiednia Szymon Heller. Polska, czyli Polin, czyli Polonia, czyli po-lan-ja, co w języku hebrajskim znaczy „tu-mieszka-Bóg”. Zdaniem Petrowskiej słowa te czyniły z Polski żydowską Ziemię Obiecaną. To właśnie do Polski młoda pisarka wyruszyła w swoją pierwszą podróż zagraniczną, odwiedzając przy okazji Oświęcim i Warszawę, w której na początku XX stulecia przyszła na świat jej babcia Roza. Z żalem zauważa jednak, że dawnej Warszawy już nie ma, zniknęła nieodwołalnie wraz z częścią swojej ludności (okolice ulicy Ciepłej, gdzie mieszkali jej przodkowie, zmieniły się całkowicie). Jest jednak nie tylko żal, ale i przerażenie, kiedy dostrzega na murach napisy, „podżegające przeciwko tym, których tu już nie było” (s. 69). Pobyt w Warszawie miał zresztą daleko idące konsekwencje, gdyż to tu właśnie nabyła płytę z błyszczącym na okładce Mogendowidem, gwiazdą Dawida, którą ujrziała wówczas pierwszy raz w życiu. To dzięki zapisanej na płycie muzyce jej babcia, Anna, wcześniej nigdy nie mówiąca w jidysz, zaczęła śpiewać stare piosenki. W ten sposób zapieczętowane okno wczesnego dzieciństwa babki się otworzyło, bez czego Petrowska nie rozumiałaby, że czy tego chce czy nie, jej rodzina pochodzi właśnie stamtąd, z utraconego świata. Mimo antyżydowskich haseł na murach stolicy Polski kraj ten w jej wędrówce w czasie bywa idealizowany. Kiedy dorastała w Kijowie, Polska była dla niej nieosiągalną i piękną zagraniczną krainą, zamieszkaną przez urocze kobiety, szarmanckich mężczyzn i pełną wiary w Boga pomimo albo — jak trafnie zauważa — właśnie dzięki ustrojowi komunistycznemu. Pisarka ujawnia też swoją szlachetność i delikatność. Za każdym razem, gdy poznaje kogoś z Polski, w pierwszej kolejności przeprasza za trzy rozbiory, a następnie za nieudzielenie wsparcia przez armię radziecką warszawskim powstańcom. Gest przeprosin wynika z uświadamianej i akceptowanej przez nią przynależności do radzieckiego imperium, za którym (mimo niewątpliwych osiągnięć) kroczą cierpienia przysparzane innym. Być może sympatię do Polski wzbudził w Petrowskiej jej ojciec, który zakochał się w naszej poezji i w brzmieniu naszego języka. Miron uznawał Polskę, co Polaków niewątpliwie mogłoby zdziwić, za „najbardziej kobiece zjawisko w socjalistycznym świecie” (s. 84). Petrowska widzi w tym pewien paradoks, ojciec bowiem, będący

członkiem narodu wybranego, który właśnie w Polsce został niemal doszczętnie wymordowany, oplakuje wielkoduszną Polskę i jej odwieczne cierpienia. Postawa tym bardziej godna uznania, że zdaje on sobie sprawę z niechętnego stosunku niektórych Polaków do Żydów, którzy zdołali przeżyć. W jego przekonaniu jednak: „miłość nie musi być odwzajemniona” (s. 85).

Chociaż Żydzi i ich losy stanowią główny temat wspomnień Petrowskiej, to jej więzy z żydostwem, o czym mówi wprost, są dość słabe. Dla przykładu brata własnego ojca, Wila, nazywa „pełnowartościowym Rosjaninem, pozbawionym żydowskiego balastu” (s. 33). Z kolei dla jej ojca, który, w odróżnieniu od Wila, miał w paszporcie wpisane słowo Żyd, żydostwo jako takie już nie istniało, także on stał się Rosjaninem. Z drugiej strony jej dziadkowie znali jeszcze jidysz, a dalsi przodkowie uczyli głuchonieme dzieci czytać i pisać po hebrajsku. Nic nie jest jednak definitywnie przesądzone i po latach sytuacja zaczyna się zmieniać — brat pisarki zwrócił się bowiem ku ortodoksyjnemu żydostwu i nauczył się hebrajskiego. Ona sama nie zna żadnego z języków swych przodków — ani hebrajskiego, ani jidysz, ani polskiego, ani migowego i nie wie nic o sztetlach. Przychodzi jej od podstaw budować swoją wiedzę na temat kulturowej i religijnej tożsamości swoich antenatów. Czuje też coś w rodzaju dumy z pokrewieństwa z Judaszem Sternem (współczesnym Herostratesem), bratem jej dziadka, który w marcu 1932 strzelał w centrum Moskwy do radcy niemieckiej ambasady, za co od razu został aresztowany. Wśród krewnych uchodził za typowego żydowskiego meszugenę (wariata), który ponoć musi być w każdej żydowskiej rodzinie. Ostatecznie Judasza uznano za członka organizacji kontrewolucyjnej, zamierzającej wywołać wojnę. Co ciekawe, o żydowskim pochodzeniu nieszczęsnego zamachowca milczała zarówno strona radziecka, jak i niemiecka (rok później byłoby już inaczej). Dumę pisarki z pokrewieństwa z Judaszem wywołały jego słowa na sali sądowej, gdzie, w obecności prokuratora generalnego i głównego oskarżyciela, Nikołaja Kyrylenki, odwołał wszystkie swoje zeznania, gdyż śledztwo prowadzone było metodami nieeuropejskimi (stosowanie tortur). Stern zapytał też Kyrylenkę, kiedy ten wyśle go w świat materii niezorganizowanej. Natychmiast po procesie Judasz i jego wspólnik Siergiej Wasiljew zostali rozstrzelani. O istnieniu Judasza bardzo długo nie wiedział ojciec Petrowskiej, tak było bowiem bezpieczniej dla ich rodziny. Milczenie było wywołane narastającymi w Związku Radzieckim nastrojami antysemitycznymi, o czym świadczy m.in. historia brata babci Rozy, Abrama, który, w obawie przed antysemityzmem,

zmienił imię na Arnold. Z kolei historię tytułowej Estery niemieckiemu mężowi pisarki opowiedział jej ojciec (była jedną z jego babć). Estera miała zginąć w czasie niemieckiej okupacji Kijowa, jednak nie w Babim Jarze, do którego zgodnie z niemieckim zarządzeniem powinna się udać, lecz na ulicy, zaraz po tym, jak poinformowała napotkanych niemieckich żołnierzy (charakterystyczne, że właśnie ich, a nie ukraińskich policjantów, którym nie ufała), że ma problemy z chodzeniem i nie zdołał pójść wraz z wszystkimi. Być może jednak żydowskość jest tym, przed czym nie sposób uciec (nieuświadomiana chęć stania się podmiotem o tożsamości żydowskiej?). Choć Petrowska, jak sama zaznacza, myśli po rosyjsku, a pisze po niemiecku, to zajmuje ją odnajdywanie krewnych, z których większość była Żydami (jednak w różnym stopniu z kulturą żydowską związanymi). Znaczenie może mieć też fakt, że przodkowie pisarki (noszący nazwisko Krzewin) przez kilka stuleci mieszkali w Kaliszu i okolicy, a celtycki rdzeń słowa Kalisz oznacza źródło lub pochodzenie. I właśnie odnajdywanie źródeł, pochodzenia przodków (białych plam na rozległej rodowej mapie) stało się jej pasją, którą można uznać za próbę przezwyciężenia traumy utraty — tego, co być powinno, a czego nie ma. Jednocześnie znaczenie powieści polega też na tym, że daje ona szansę, na co zwraca uwagę Agnieszka Matusiak³, rozpoczęcia jakościowo nowej debaty na temat znaczenia żydowskości dla ukraińskości.

³ A. Matusiak, *Wyjść z milczenia...*, s. 187.